

Łapią białych? Są rasistami?

- Kto to jest?

Mężczyźni popatrzyli po sobie.

- Nigdy nie kupuję kota w worku. Z wyglądu nie jest nic warta, więc jeśli chcecie ją sprzedać, musicie mi powiedzieć, kim jest.

Popatrzyła na mnie tak, że gdyby spojrzenie mogło zabijać, leżałbym na ziemi martwy, a targowisko byłoby ozdobione moimi wnętrznościami.

- Jestem Annemari Dask, córka hrabiego Daska. Jedyna córka.

Mężczyźni poruszyli się niespokojnie, a ja gwizdnąłem w duchu. Jeśli dziewczyna powiedziała prawdę, żądali podejrzenie mało. Dask nie był poddany żadnemu władcy, jego hrabstwo było większe od niejednego królestwa. Gdyby kazał się tytułować „Wasza Ekscelencjo”, nikt z jego sąsiadów by nie protestował.

- Możecie to udowodnić?

- Jeśli nie jest pan tak głupi, na jakiego wygląda, niech się pan sam przekona - powiedziała dziewczyna pogardliwie, wyjęła z włosów spinkę i podała.

- W matowym, wykonanym filigranem srebrze widniał znak rodu Dasków

- Mogłaś ją komuś ukraść.

Mało brakowało, a dostałbym w twarz. Była diabelnie szybka, jej rękę chwyciłem w ostatniej chwili.

Uśmiechnąłem się do niej, wciąż trzymając jej dłoń w swojej.

Jestem chudym i niezgrabnym mężczyzną. Dwie trzecie mojej wagi stanowią kości, a dziewczynom, które uśmiechają się do człowieka za pieniądze, płacę potrójną stawkę, żeby w ogóle mnie zauważyły. Do tego wszystkiego mam haczykowaty, dwukrotnie złamany nos i kilka źle zrosniętych blizn na twarzy. Nawet nieczuli ludzie się denerwują, kiedy się do nich uśmiecham i dla tej małej hrabianki musiałem stanowić obrzydliwy widok. Mimo to wytrzymała. Puściłem ją, usiadłem przed mężczyznami i zaczęliśmy negocjować.

Wydawało mi się, że w rzeczywistości było im wszystko jedno, za ile sprzedadzą Annemari, byleby tylko się jej pozbyć. W końcu zbiłem cenę do trzydziestu pięciu złotych i wyłożyłem gotówkę. W kieszeni zostało mi pięć srebrnych na opłacenie noclegu w oberży, gdzie już od pięciu dni mieszkałem.

- A teraz mi zdradźcie, gdzie jest haczyk. Pieniądze macie, więc mówcie - powiedziałem.

Nic mi nie zdradzili, podnieśli się i tchórzliwie uciekli. Zostałem na targowisku z pustą kieszenią i małą dziewczynką, która była całkiem do niczego. Nawet gdybym ją wynajmował siedem dni w tygodniu, do sądnego dnia nie udałoby się jej zarobić tyle pieniędzy, ile dałem.

Patrzyłem na nią, ona na mnie i nagle nie wiedziałem, dlaczego właściwie to zrobiłem.

- Do licha, miałem kupić konia! - zakląłem na głos.

Przez chwilę przyglądała mi się przerażonym wzrokiem, później rozplakała, ciągle drepząc po tym głupim dywanie. Starąłem się ją uspokoić, lecz w ogóle mnie nie zauważała. W końcu wziąłem ją na ręce i zaniósłem do gospody, gdzie mieszkałem. Przez całą drogę powtarzałem sobie w duchu, że naprawdę powinienem kupić konia.

Położyłem ją na łóżku i przykryłem kocem, żeby miała gdzie się wyplakać. Zanim usnęła, długo łkała. Z gospody przyniosłem dzban piwa, usiadłem przy oknie i patrzyłem w dół na ulicę. Słońce zachodziło, cienie się wydłużały, a płatanina uliczek i zakątków powoli ginęła w mroku. Dom miał grube ściany z niepalonej gliny i nawet teraz, pod koniec dnia, w pokoju czułem przyjemny chłód. Gwar z oberży na drugim piętrze powoli cichł. Po upalnym dniu wszyscy byli zmęczeni, miną jeszcze co najmniej dwie godziny, zanim ludzie zaczną prowadzić nocne życie. W Baurycie wstawano przed świtem, do dziesiątej wykonywano jak najwięcej pracy, a od dziesiątej panowała sześciogodzinna sješta, ponieważ w morderczym upale człowiek był co najwyżej w stanie pić chłodną herbatę, lecz nawet to bardzo wyczerpywało. Do ósmej wieczorem znowu się pracowało i po krótkiej przerwie na odpoczynek ludzie zaczynali się bawić. Życie płynęło tu bardziej powoli i leniwie, wydawało się, że nic nie jest tak ważne, jak to w pierwszej chwili wygląda. Pomimo

miłego wieczora, miałem silne poczucie, że w najbliższej przyszłości nie zaznam za dużo spokoju. Wyciągnąłem z pochwy miecz i sprawdziłem klingę. Była smukła i cienka niczym kartka papieru, ostrze barwy stali, w świetle zachodzącego słońca stawało się coraz bardziej niebieskie, prawie fioletowe. Mistrzowska sztuka z pracowni mistrza, dla wysokiego człowieka z długimi rękoma idealna broń. Przez chwilę zastanawiałem się, do ilu ludzi należała i ilu ludzi nią zabito. Nie dodało mi to otuchy, wolałem dopić piwo, położyć się na podłodze i przykryć płaszczem. Podłogę na szczęście zrobiono z miękkiego, lipowego drewna. W ciągu nocy odcisną się na niej moje ciężkie kości i rano będzie mi się leżało o wiele wygodniej. Na dębowych deskach byłoby gorzej. Przed świtem obudził mnie szelest. Annemari wstawała właśnie ostrożnie z łóżka. Poczekala, aż przyzwyczai się do półmroku, ostrożnie przestąpiła przeze mnie, otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. Stałem przy oknie. Jeśli złapię się za parapet, będę miał do ziemi o dwa metry bliżej i zdołam skoczyć tak, żeby nikt mnie nie słyszał. Wyszła na ulicę. Niebo jaśniało, w świetle gwiazd widziałem, jak dziewczyna się kilkakrotnie rozejrzała. Kucnęła przy kanale ściekowym i wysiusiała się. Ostrożnie, żeby nie dostrzegła ruchu, odstałem od okna i kiedy wróciła, leżałem na swoim miejscu. Stała nade mną i długo mi się przyglądała. Jej oczy w ciemności błyszczały zielenią, obserwowałem ją spod przymrużonych powiek, żeby się nie zdradzić, że nie śpię. Potrząsnęła głową, jakby w czymś się upewniła, później ponownie położyła się do łóżka i, wnioskując po oddechu, usnęła.

O świtaniu wstałem i przyniosłem z gospody dwie porcje śniadania. Zwykłe placki kukurydziane z miodem i mocną gorzką herbatę, ponieważ na nic lepszego nie miałem pieniędzy. Zapach obudził ją natychmiast. Twarz sobie odgniotła od twardego materaca, rudawe włosy sterczały na wszystkie strony. Podsunąłem jej talerz i nie musiałem nawet zachęcać do jedzenia - jadła prawie tak szybko jak ja.

- Potrzebuję twojej broszki - powiedziałem.

Na twarzy Annemari na chwilę pojawił się strach, który szybko zastąpiła pogarda.

- To zwyczajne srebro, nie dostaniesz za nią wiele.

Wartość ma tylko dla mnie i mojego ojca.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie mam już żadnych pieniędzy. Muszę kupić wyposażenie również dla ciebie. Chyba że chcesz jechać w tej szmatce. Nie będzie ci za ciepło. - Pokazałem brodą na jej ubogie odzienie.

W porannym chłodziu miała gęsią skórę i, jedząc, instynktownie się kuliła. Teraz prawie zwinęła się w kłębek.

- Co chcesz ze mną zrobić?

- Odwiozę cię do domu.

- Co? - Popatrzyła na mnie ze zdumieniem. Nie wierzyła w ani jedno moje słowo.

- Odwiozę cię do domu i założę się, że twój ojciec wypłaci mi godziwą nagrodę.

- Albo zamknie w więzieniu i każe ściąć. Mój ojciec nie prowadzi interesów ze złodziejami i mordercami.

W pierwszej chwili chciałem zaprotestować, że nie jestem złodziejem ani mordercą, ale później sobie uświadomiłem, że sprawa może być dyskusyjna.

- Dzięki za ostrzeżenie. Postaram się nie być zależnym od jego dobrej woli i będę pertraktować przy pomocy pośrednika. Kto inny da mi za ciebie więcej niż on?

Triumfalnie się uśmiechnęła.

- Więc nie nagrodę, ale wykupne.

- Wszystko jedno jak to nazwiesz. Daj mi tę broszkę.

Zdjęła ozdobę niechętnie i, mimo że niezłe się trzymała, zbierało jej się na płacz. Nie chciałem ryzykować kolejnej łzawej sceny, dlatego wolałem nic nie mówić. Zauważyłem, że pod zniszczoną sukienką ma srebrny wisior w podobnym stylu. Miałem nadzieję, że za klejnot dostanę wystarczająco dużo i nie będę musiał dziewczynki pozbawiać również tego.

Wróciłem dopiero za dwie godziny i w życiu nie targowałem się ostrzej. Rzuciłem na łóżko Annemari spodnie z antylopiej skóry, kurtkę i koszulę z najtańszego surowego płótna, do tego najlepsze buty, jakie znalazłem w małym rozmiarze. A na deser dodałem kłębek nici i igłę.

- Popraw sobie ubranie, żebyś czuła się w nim jak najlepiej. Czeka nas długa droga.

Z powątpiewaniem obrzuciła spojrzeniem kupkę ubrań i wzięła igłę do ręki. W tym momencie wiedziałem, że ukreśliłem na siebie bat.

- Ja... ja nie umiem szyć - powiedziała.

- Każda mała dziewczynka to potrafi - warknąłem.

- Po pierwsze, nie jestem małą dziewczynką, po drugie, jestem córką hrabiego i nigdy nie będę tego potrzebować!

Jeśli przed chwilą w jej głosie był przynajmniej cień poczucia winy, teraz zniknął i mówiła jak królowa z kohortą oddanych żołnierzy przy tronie. Odłożyłem miecz, usiadłem na jedynym krześle i zacząłem szyć.

- Może nie jesteś małą dziewczynką, może jesteś córką hrabiego, ale jesteś również moim majątkiem. Kupiłem cię i należysz do mnie ze wszystkim, co masz. Gdybym nie chciał za ciebie dostać godziwej ceny, gnałbym cię przez puszcę naga. Szybko byś zrozumiała, że nie ma pracy poniżej godności człowieka. Wszystko może ci się kiedyś przydać.

Syknęła tylko pogardliwie.

- I tak nie wierzę, że mnie zaprowadzisz aż do ojca.

To ponad osiemset kilometrów.

Skinąłem głową.

- Osiemset kilometrów w linii prostej, ale nas czeka co najmniej dwa razy tyle. Nie możemy ruszyć przez sawannę, ponieważ koczownicy złapałoby nas, zanim byśmy się obejrzel. Nie możemy też zagłębić się za bardzo w las. Pójdziemy wzdłuż granicy między stepem a lasem, gdzie będziemy mogli się dobrze ukryć, a jednocześnie szybko posuwać w przód.

Wyobraziłem sobie w duchu mapę i zrozumiałem, że to naprawdę długa droga.

- Jak właściwie znalazłaś się aż tutaj?

- Ojciec chciał, żebym na własne oczy poznała duże miasta cesarstwa i posłał mnie z całym orszakiem z wizytą do krewnych. Miałam mieć własny dom, służących, własnych żołnierzy. Ale podczas podróży napadli nas i wzięli mnie do niewoli.

- Ci dwaj, których spotkałem?

- Nie, zupełnie inni ludzie. Zaatakowali nas w wąwozie między dwoma wzgórzami. Było ich mniej niż moich żołnierzy, ale i tak zwyciężyli. Przez jakiś czas byłem z nimi, a w końcu ukradli mnie ci dwaj.

Dalej nie wypytywałem, ponieważ na samo wspomnienie Annemari zbladła i zacisnęła wargi. Podróż z handlarzami niewolników nie była chyba przyjemnym przeżyciem. Szyłem i starałem przypomnieć sobie mapę terenów, przez które mieliśmy podróżować. Kilkaset lat temu, zanim dzicy ludzie z puszczy zburzyli Cernut, był to środek cywilizowanego świata. Od tego czasu zmienił się klimat, puszcza przesunęła się na południe i pochłonęła trzy największe miasta. Dwa wielkie królestwa rozpadły się na odizolowane niewielkie posiadłości ziemskie, które stopniowo poddawały się w starciach z nomadami i dzikimi mieszkańcami lasów. Cały teren był zbyt niegościnnie, żeby interesował się nim cesarz crambijski. Ponadto tym samym podburzyły przeciwko sobie Ligę Niezależnych Miast, która w obszarze, gdzie nie było żadnego władcy, leżącym za jej północną granicą, widziała gwarancję własnego bezpieczeństwa.

Praca paliła mi się w rękach, przed południem dałem jej spodnie i koszulę do przymierzenia.

- Przed tobą?

- Co przede mną? - nie rozumiałem.

- Mam się przebierać przed tobą?

Przełknąłem uwagę o tym, że w jej przypadku wstyd

jest zbyt cenny, wzięłem broń i zszedłem na dół po coś na obiad. Ponieważ była sjesta, w sali nikogo nie było i obsłużyłem się sam. W Baurycie w południe nie pracowali nawet złodzieje.

Przerobione ubranie całkiem dobrze na niej leżało, a kiedy wypchała czubki butów szmatami, mogła w nich stosunkowo wygodnie chodzić. Gdyby nie długie, kręcone włosy, wyglądałaby teraz jak chłopak. Już rano kupiłem jej prostą drewnianą spinkę, ale zostawiłem ją w kieszeni, ponieważ z rozpuszczonymi włosami Annemari podobała mi się o wiele bardziej. Zdecydowałem, że jeszcze

chwilę poczekam. Na świecie jest mało pięknych rzeczy, a człowiek powinien rozwijać swój zmysł estetyki.

- Cieszę się, że dobrze leży. Znam się tylko na męskich miarach i obawiałem się, że może nie będzie na ciebie pasować.

Popatrzyła na mnie jak na kolec, na którym właśnie usiadła, lecz nic nie powiedziała. Nie miałem pojęcia, dlaczego znów miała muchy w nosie. Jeśli podczas drogi nie będzie współpracować, wszystko okaże się o wiele trudniejsze. Zaczynałem przeczuwać, że to będą strasznie ciężko zarobione pieniądze. Stałem przy oknie. Ulice ziały pustką, rozpoczęła się druga połowa południowej sjesty.

- Wyjedziemy w nocy. Zanim się rozwidni, zniknie my wszystkim z pola widzenia - powiedziałem głośno.

W kurzu na ziemi, przy kupce śmieci, coś błyszczało.

- Załatwię konie.

- Mówiłeś, że nie masz żadnych pieniędzy.

- Nie mam. Nie powiedziałem, że kupię.

- Jesteś prostackim złodziejem.

- Określenie „prostacki” nie spodobało mi się. Mój ojciec był szlachcicem, bardzo potężnym szlachcicem. A także, oczywiście, złodziejem.

- Wiesz, że tutaj za kradzież koni się wieszka? - zauważyła złośliwie.

- Wszędzie się wieszka za kradzież koni.

To, co błyszczało na ziemi, uderzając przypominało ostrze długiego noża.

- Za chwilę wracam - powiedziałem i wyszedłem z pokoju.

Na zewnątrz panował piekielny upał. Natychmiast się spociłem, w ostrym świetle mrużyłem oczy, aż bolały mnie od tego mięśnie twarzy. Rozejrzałem się i ostrożnie zbliżyłem do sterty śmieci. Kawałki starych warzyw, zgniłe banany, resztki po gotowaniu. Cuchnęło to jak... jak sterta gnijących resztek w ostrym słońcu. Jednak w fetorze rozpoznawałem jeszcze jeden, dobrze znany składnik. Z błyszczącego przedmiotu zgarnąłem kurz i skórę od banana. To był scimitar. Końcem stopy rozgrzebałem stertę, a kiedy czarna chmura much się rozproszyła, ujrzałem ludzkie ciało, albo raczej to, co z niego jeszcze zostało. W tym klimacie rozkład następuje bardzo szybko i niektóre robaki miały już trzy centymetry długości. Pobiegłem z powrotem, przeskakując po trzy stopnie. W lewej ręce trzymałem nóż.

Annemari spojrzała na mnie ze zdziwieniem, gdy mało nie wyrwałem drzwi z zawiasów.

- Jak wyglądali ci pierwsi handlarze niewolnikami?

- Niewiele wyżsi ode mnie, Murzyni z mnóstwem blizn na twarzy.

- Czuję, jak serce szybko mi bije, a każdym porę skórę wydostaje się pot. Byliśmy w niezłych tarapatach.

- Rozbierz się.

- Nie! Już nigdy przed nikim się nie rozbiore! Wątpiłem, czy mówi prawdę, lecz nie było czasu na kłótnie.

- Rozbierz się, albo ja cię rozbiore. Ale ubranie będziesz musiała sobie potem naprawiać sama.

Myślałem, że będzie płakać, lecz popatrzyła na mnie, jakbym był ostatnim trędowatym, zdjęła kamizelkę, rozpięła koszulę, rozwiązała sznurek, który przytrzymał jej spodnie i stała przede mną, jak ją Pan Bóg stworzył.

- Masz gdzieś tatuaż?

Pokręciła głową, znieruchomiała z osłupienia.

- Odwróć się.

Posłuchała mnie.

Miała tatuaż. Nawet dwa - dwa wytatuowane motyle, jeden żółty, drugi niebieski. Na pośladku i pod lewą łopatką. Dzielka artystyczne wykonane w najdrobniejszych szczegółach. Z materiału wklutego pod skórę powoli uwalniają się motyle feromony. Varirowie oznaczają w ten sposób drogocennych niewolników, żeby później za pomocą specjalnie uszlachetnionych samców motyli mogli ich wszędzie wytropić. A Annemari musieli naprawdę cenić, ponieważ oznaczyli ją dwoma

tatuażami naraz, ponadto oba były doskonale wykonane i w żadnym przypadku nie powinny przeszkadzać przyszłemu panu.

W nozdrza nagle polechtał mnie ostry zapach potu. Nie był to mój pot, pot Annemari, czy w ogóle białego człowieka. Odwróciłem się na pięcie, lewą ręką instynktownie kryłem przestrzeń przed sobą. Stał w otwartych drzwiach, mężczyzna metr pięćdziesiąt, skóra, kości i mięśnie, szybki jak błyskawica i niebezpieczny jak skorpion. Jego hebanowa skóra w półmroku pokoju połyskiwała niebiesko. Skrzywił się, na lewym policzku miał siedem równoległych rytualnych blizn. Varirowie używają blizn jako oznaczeń rangi. Siedem dużych blizn oznacza pana wojowników. Najwidoczniej go zaskoczyło, że odwróciłem się w odpowiednim momencie. Gdybym się nie spodziewał kogoś z jego plemienia, a moje zmysły nie byłyby wyostrzone do granic możliwości, zastałby mnie nieprzygotowanego. W obu rękach trzymał noże. Wiedziałem, że jeden z nich ma zatrute ostrze. Nie odważyłem się na nie spojrzeć, żeby nie zdradzić, że wiem. Zrobiłem wypad prawą nogą na długość stopy - był leworęczny, zatem zatruty nóż powinien mieć w lewej ręce. O ile nie blefował. Zbyt wiele niepewności. Nie wierzyłem, że zdołam się obronić bez zadrapania, już kilka razy widziałem, jak walczyli ludzie z jego plemienia. Przerzuciłem nóż do drugiej ręki. Delikatnie się skuliłem, kątem oka zobaczyłem, jak palcami prawej stopy zaparł się o podłogę. Wykonałem ruch, jakbym chciał zaatakować od dołu jego prawą rękę, w ostatniej chwili, odwracając się, zrobił unik i wśliznął mi się między ręce. Wiedziałem, że jest szybki, ale i tak mnie zaskoczył. Jednak przez cały czas byłem skoncentrowany na jego lewym nadgarstku i ścisnąłem go, zanim zdążył mnie zadrasnąć. W ostatniej chwili odwróciłem częściowo atak długim nożem, ostrze zraniło mnie w przedramię. Odchyliłem jego lewą rękę jak najdalej w bok i w górę. Murzyn był lekki, stracił równowagę, do kolejnego ciosu nadstawiłem ramię, a sam dźgnąłem go w podbrzusze głęboko aż po trzonek i pociągnąłem po skosie w górę. Osłabł, w ranie pojawiły się wnętrzości. Swoją rękę schowałem do futerału, jego zatruty ostrożnie chwyciłem i dopiero później puściłem jego rękę. To znaczy, miałem nadzieję, że to ten zatruty. Odwróciłem się do Annemari, przyglądała mi się z przestachem. Drugi Varir wchodził właśnie przez okno. Bez zastanowienia rzuciłem w niego nóż. To był dobry rzut, bezpośrednio w tułów, ale mimo to zdołał odepchnąć dłonią lecące ostrze. Zrobił grymas, zachwiał się, odwrócił w tył i z głuchym łoskotem upadł na ziemię. Varirowie twierdzą, że tak jak węże, są odporni na własne trucizny. Kłamię.

- Natychmiast odjeżdżamy! - wrzasnąłem. - Przygotuj się, przyprowadzę konie. I popatrz, czy tych dwóch nie ma przy sobie jakichś pieniędzy.

Kwadrans później opuściliśmy miasto. Jechałem na klaczy, która tak mi się spodobała, a Annemari wybrałem zwinnie wyglądającego wałacha. Bauryto wciągnąłem na listę miast, w których w ciągu dziesięciu lat nie będę mógł się pokazać. Ręka piekielnie mnie bolała, starałem się opanować nerwy i nie popędzać koni bardziej, niż to było potrzebne. Annemari nie mówiła nic i przyglądała mi się spod oka, pełna obaw.

Pierwszej nocy prawie nie spałem. Częściowo z powodu ręki, po części z powodu Varirów. Dopiero trzeciego dnia uwierzyłem, że uzyskaliśmy przewagę i nie grozi nam bezpośrednie niebezpieczeństwo. Przy pierwszej okazji pokryłem tatuaże Annemari gliną, pokapałem kleistym sokiem z kaktusów i przykryłem młodymi listkami. Za dużo sobie po tym nie obiecywałem, ale lepsze to niż nic. Uprzedziłem ją, że te dwa motyle będą zdobić ją aż do końca życia. Dziwnie wyprowadziło ją to z równowagi i nie uspokoiła jej nawet moja uwaga, że z pewnością nikt nie będzie się skarżył.

Opuściliśmy pas półpustyni i rozbiliśmy obóz w lasku między dwoma wzgórzami. Odnaleźć mógł nas tylko ten, kto zjechałby ze starego szlaku. Nazbierałem kupkę chrustu i na kamieniach nad małym ogniem smażyłem placki kukurydziane. Po raz pierwszy po trzech dniach trochę odpocząłem.

- Ty ich znasz? - zapytała Annemari.

Przez całą drogę odzywała się tylko, jeśli było to konieczne, a na moje pytania odpowiadała monosylabami.

- Kogo?

- Tych dwóch ludzi, których zabiłeś?

- To Variowie. Bardzo niebezpieczni ludzie. Ich przodkowie żyli w puszczach, ale stopniowo zaznajomili się z cywilizacją i stwierdzili, że parę rzeczy się im w niej podoba. Mimo to nie zrezygnowali z dzikiego stylu życia. Wciąż żyją w obozach koczowniczych, lecz używają broni ze stali, nauczyli się strzelać z łuku, jeździć konno i czasem oddają się rytuałowi kanibalizmu. I są bogaci.

- Jak to?

- Stali się profesjonalnymi handlarzami niewolników.

- Łapią białych ludzi?

- Nie, nie są rasistami.